


Essays

Próby Sonetów

PRÓBY SONETÓW

KSIĄŻKI TEJ WYDRUKOWANO
200 EGZEMPLARZY NUMEROWANYCH
OD 1 DO 200
NIE PRZEZNACZONYCH DO SPRZEDAŻY.

N^o 

Essays

Próby Sonetów

NAPISAŁ

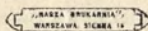
A. R.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

W A R S Z A W A
1 9 2 9



213.708



Żem na pokus dostępnych urodził się szczycie,
A nie obce mi były miłosne podchody,
Na kobiercu z róż żywych wiek mi minął młody
I wśród objęć wciąż nowych ubiegło mi życie.

Jednak, ciesząc się czarem i blaskiem urody,
„Komu z tego co przyjdzie?” siebiem pytał skrycie,
Aż wreszcie – nazbyt późno – dziś widzę niezbicie,
Wiele, nie chcąc, nie myśląc, – narobiłem szkody.

I oto czekam zemsty. W życiu mojem szparkiem
Wyłynąwszy nad piękna syrenie odmęty,
Cieszyć się będę zemstą, jak inny podarkiem.

Lecz że zrzadka, na fali życia miotan wzdętej,
Do szczęścia-m bliźnich drobnem przyczynił się ziarnkiem,
Kto wie? może też całkiem nie będę wyklęty.

B. 28. 11.

Gdy wiankiem mię otoczą ciał dziewczęcych bluszcze
I zawrotne mnie porwą ich barwy i wonie,
Ocean marzeń sennych wkoło mnie się pluszcze,
Niewysłowione w duszy grają mi harmonje.

Niezszczone marzenia jakieś myślą gonię,
Szumią odwiecznym szumem gdzieś nademną puszcze,
I wznoszę ku niebiosom modlitewne dłonie,
Lub w cygańskich romansach haniebnie się ruszczę.

Balsam czuję rozkoszny na krwawiącej bliźnie,
Nie myślę co da jutro, ni co było wczora,
I zwątpień mnie opuszcza wyuzdana sfora.

Gdy ściągnie mnie co wtedy ku życia szarzyźnie
I jęzorem kolczastym rzeczywistość liźnie –
W proch by ją rozmiażdżyła moja dusza chora.

A. 30. 11.

Nie pytaj się, nie pytaj upojna dziewczyno,
Czemu czasem się kryję milczenia zagadką,
Lecz przytul raczej do mnie pierś, jak marmur, gładką, –
Niech złudzeń Twoich młodych upoi nas wino.

A może myśli zawsze – da Bóg – Cię ominą,
Że świat ten bywa czasem też potworną jatką,
W którym młodość i piękność są niebyłe gratką –
Aż w nim, jak w pajęczynie ślizgiej jakiejś zginą.

Idź w życie pełna w Tobie rozśpiewanej pieśni
I marzenia o pięknie sobą wkrąg cieleśnij,
Nieświadoma nędz wszystkich, które trapią ludzi.

Jak wielu z nich się w matni beznadziejnej trudzi,
Która żadnej litości ani łzy nie budzi,
Nie chciej poznać przezemnie – niżli trzeba – wcześniej.

L. 6. 12.

Tryskające weselem lub w cichej zadumie,
Jak pereł sznur bezcennych szłyście mi przez życie,
A, błysnąwszy w upojeń przelotnym zachwycie,
Gasłyście, matowiały i niknęły w tłumie.

Tak lekko was żegnałem! Dziś, w wyrzutów zgrzycie,
Pytam się, niespokojnie błędząc w wspomnień tumie,
Gdzież wy teraz? W salonach, karczmach, czy też trumnie,
Czy kwitnicie gdzieś kwiatem, czy Wam kwiat na płycie?

Tyle, tyle Was było! Z głupotą motyla,
Gdy mijała zachwyków – jak sen – krótka chwila,
Mniemałem, że w jakowymś nikniecie niebycie.

A wyście dalej żyły! Może muz pupila
Przelotny kaprys lży z Was wydławił obficie?
Tak liczne! Ledwie znane!... Czy mi przebaczycie?

P. 15. 12.

I ja sonetu lubię wytworne igraszki.
Ukuwszy z rymów ramę, z cierpliwością prządki
Wyrazami zapelniam jej wszystkie zakątki,
Bacząc, by wyraz każdy piękny był i ważki.

A kiedy załsnia barwnie misterne ich grządki
I zabłysną mi w słońcu brylantem, jak blaszki,
Lub zanucą figlarnie jak wiosenne ptaszki,
Nie dbam o to, czy treści snują jakieś wątki.

Zbyt długo mnie uludne wabiły mirażę,
Myśli lotnej otchłanie i uczuć ołtarze.
Dziś myślę, na trud patrząc poetyckiej braci,

Jak na nowe nastroje trudy swoje traci,
Że już nam to mówiono piękniej i bogaciej –
Więc, nie myśląc o treści – tylko tak ot gwarzę.

P. 15. 12.

Gdy nawiedzisz mnie czasem – powiewna i bosa –
W sukience Primawery – wzdarłszy główkę płową
Z rozwianemi włosami o kolorze kłosa,
I kusisz nieświadomie szeptaną namową, –

Gdy poczuję cię obok – świeżutką jak rosa,
I zapomnianą piosnkę zanucisz ehowo,
Znów jedyne – w Twych oczach – poznaję niebiosą, –
I do nóg Tobie padam i Twój'm jest na nowo.

Z drogi dawno wytkniętej zbaczam na bezdroża,
Zapominam o trudzie radosnym tworzenia,
A duma twardej pracy – w puch się marzeń zmienia.

Świat mi się cały szczęścia zorzą rozpromienia,
Uczuć w piersi nietknięte życiem biją złoża, –
I pytam: „gdzie jest prawda? Gdzie jest wola Boża?”

B. 22. 12.

Gdym, biały wiążąc krawat – grzesznico i święta, –
Telefon trochę gniewnie Ci zamknął przed nosem,
Jakżeś prędko się z swoim pogodziła losem,
I siłą, co Cię ku mnie ciągnie – niepojęta.

Dziś „myślę że to dobrze” mówisz uśmiechnięta
„Żem Ciebie wywołała, boś gniewu chaosem
Szarpany, potrzebował na kimś szorstkim głosem
Gniew swój wyrzucić, nim w balu rzucisz się odměta.”

I raz pierwszy na Ciebie spojrzałem uważnie,
Gdyś słodko tak mówiła, strzelista jak tuje,
I żal mię objął wielki, że Ciebie tak drażnię,

Że nie umiem Cię kochać serjo i poważnie,
Że zmysłów Twych narkotyk tak słabo mnie truje,
Że nic – oprócz podziwu – do Ciebie nie czuję.

W. 20. 1.

Nigdy mi się nie marzy lepiej i nie pisze,
Jak, gdy czuję na wargach Twoich warg haszysze,
Gdy mnie Twych pocałunków jeszcze smak kołysze
I wzrokiem swym na oczach Twych omdlałych wiszę.

Pragnieniem Twego ciała zmęczonego dyszę,
Oprócz Twego oddechu tylko głos Twój słyszę,
Co – zrzadka przerywając koronkową ciszę –
Akordów coraz nowych porusza klawisze.

Lecz kiedy, by wyzwolić się – od Ciebie stronię –
Wnet kuleć zaczynają mej kwadrygi konie,
Co, rozhukane, lejcem krwawiły mi dłonie.

Martwość ogarnia myśli, wpierw wrzące w cyklonie,
Pulsujące pożarem zastygają skronie
I głowę – nagle pustą – w bezsilności kłonię.

W. 26. 1.

Dajcie mi Vinci'ch pędzel i Canov'ów dłuto,
By tłumy nieprzebrane Twoją piękność grecką
Podziwiały – tak lekką, czujną i zdradziecką,
Uwiecznioną na płótnie, lub w marmur zakutą.

Niech z zapartym oddechem patrzą, jak Ty z butą –
Wyniosła jak królowa, łagodna jak dziecko –
Trwać będziesz – w suknię strojna swoją staroświecką,
W guipiury i koronki ozdobioną suto.

Ale nie żądaj byśmy padali od rana
Przed majestatem piękna Twego na kolana, –
Bo na zielonej łączce i w puchach kozetki

Odwieczny czar niewieści, łagodny i lekki
Da nam snadniej w lzę uśmiech oprawny gryzетки
I zdrowiem tryskająca jej dusza wiośniana.

W. 27. 1.

Przyjdź do mnie i weź książkę: niech popatrzę zrzadka
Na główkę zamyśloną, tak cudnie dziewczęcą,
Gdy w oczach tli się gwiazdą odwieczna zagadka,
A powiewną koroną włosy ją okręca.

Lecz nie zbliżaj się do mnie: mija do ostatka
Czar Twój, gdy się rozpęta chuć w Tobie zwierzęco.
Jesteś, jak książki blahej czarowna okładka, –
I wymyślne mnie Twoje pieszczoty – nie nęca.

Bo jesteś jak uluda, co nęci człowieka
Tysiącami barw lśniących, póki lśni zdaleka, –
Więc z spragnionemi ku niej rzuca się ramiony,

Lecz, kiedy z trudem stanął u mety wyśnionej,
Nagle widzi jej pustkę – i staje zdumiony,
A w piersi zadyszanej serce krwią ocieka.

W. 27. 1.

Ostatnie blade kwiaty uczuć moich dożnij
I puść na wichru skrzydła piękny Don Juanie!
Blaskiem piekieł migoce ognia dogasanie
W kominku, u którego stoim, cudzołożni.

Myślimy, patrząc w ziemię – to na siebie – trwożni:
Ty – jak uciec odemnie, a ja – co się stanie,
Jakie czeka mnie długie, powolne konanie,
Gdy inna wkrótce Tobą zawładnie przemożniej?

I marzę: gdybyś przerwał pochód swój zwycięski
Po sercach – i padł nagle – okrutny i męski –
Do nóg mych – czarem wzięty duszy mej i ciała,

Bym na zawsze Twym sercem ja jedna władała, –
Jakżebym wtedy z Ciebie i rywalek klęski
Była dumną! Lecz... czybym Cię jeszcze kochała?...

W. 29. 1.

Są wieszcz, których słowo w natchnień huraganie
Grzmi i huczy, jak piorun, i w bitewnym gwarze
Na bój prowadzi ludzi i umierać każe,
Światów nowych wskazując im jasne świtanie.

I są inni, co w uczuć szczęśliwym umiarze,
Zasłuchani w melodyj czarodziejskich granie,
Czujni sercem na świata i uśmiech i łkanie,
Prowadzą nas przed piękna odwieczne ołtarze.

I są nam równie drodzy: ten, co w krwawym znoju
Wiedzie nas do przyszłości promiennej podboju
I, zapatrzony w niebo, – ziemi łany krwawi, –

I ów – na świata rzeczy patrzący łaskawiej, –
Co, olśniony harmonją ich bujnego roju,
Nie wiedząc nawet o tem – Boga wielkość sławi.

W. 31. 1.

Niejeden mnie współczesny gniewa Wajdelota
Formy – sztuczną słabizną, a prawdziwą – treści,
Gdy myśli ubożuchne uroczyście mota,
Bojąc się, że je szatą – co lepszą – zbecześci.

W anemicznych nastrojów prowadząc nas wrota,
Na palcach iść nam każe i na ucho wieści
Nam bajki o Golkondy skarbach, które grota
Jego natchnień – jakoby – tajemniczo mieści.

Lecz tonący bezradnie w tych natchnień wiotczyźnie,
Któremi go częstują wypłowiałe wieszczce,
Nie traci wciąż nadziei, że się zjawi jeszcze

Znów ktoś, co w sercach wzbudzi całkiem inne dreszcze
I, wybuchłszy, jak wulkan, w nowych słów tężyznie,
W znudzone dusze wierszem nam stalowym bryźnie.

W. 5. 2.

Nie kusily mnie tłumów zwodnicze oklaski –
Lecz – uśmiechem swym – słońce, a czerwienią – maki,
Więc szedłem zapatrzony w purpurowe brzaski,
O zaszczyty niedbały – i zawsze jednaki.

Widząc strojne w pstre wstążki, źle skrojone fraki,
Nad którymi wiał z twarzy – często – wyraz płaski,
Jakżem rad był, że fraka mego znaczek taki
Nie psuje, że dziewiczym jest od czyjejś łaski.

Lecz pieszcząc się uśmiechem lub pachnącą różą,
Która mi o rozkoszach – jakże innych! – szepce,
Myślę, że w wstążki może – nie same pochlebce

Są strojni – na sens życia beznadziejne ślepce, –
Lecz również tacy, co się prawdziwie zasłużą, –
A zyskać równych sobie uznanie – to dużo.

W. 5. 2.

O Włoszech mówi palma, a o Polsce sosna,
Bo słowo każde życiem swoim własnym żyje
I obrazy tajemne, jak sny, w sobie kryje:
Całun biały ma zima i uśmiech ma wiosna.

Więc, gdy z rymów się złożą czarodziejskie krosna,
Myśl się sama wokół od niechcenia wije,
Śpiewa dole, niedole, własne i niczyje,
Zaśmieje się – rozpaczna – lub załka – radosna.

Więc nie śmieję się, Zofjetko, że czasem zbyt skrętnie
W rozmowy środkiem rymy notuję w kalpenie,
Gdy załsnia mi motylem – nim znikną, jak cienie.

Bo na rymów dwóch skrzydłach wznosi się marzenie,
Co, jak ptak, w złotym blasku słońca buja chętnie,
Ciesząc się pięknem świata w żyl zawrotnem tętnie.

W. 17. 2.

Miotany na żądź parnych rozpalonym wicherze
Zbyt długo za uludą prężyłem ramiona -
Aż dzisiaj, ognia żarem dusza spopielona,
Ranki woli wcześniejsze i wieczory cichsze.

Mądrości odleżałe nęcą mnie nasiona,
Które kryją zaciszne księgozbiorów śpicherze, -
Dawne pokusy zdają mi się co dnia lichsze,
Jakgdyby z oczu nagle spadła mi zasłona.

Z dniem każdym jedna więcej złuda we mnie kona
I odlatuje cicho w przestrzenie, lecz nie z tem,
Co dać miała, a dziwnie szara i zmęczona.

Nowych myśli turkoczą mi w głowie wrzeciona,
Co trwać będą, aż wsunie się z cichym szelestem
I stanie śmierć nademną, szepcąc: „Oto jestem.”

W. 18. 2.

Gdy na Wareckim placu, lub na Nowym-Świecie
Spotykam Cię tak śliczną w Twym jasnym berecie,
Żalność czuję niezmierną – jak ku rannej sarnie,
Gdy się Twe usta blade uśmiechną cmentarnie.

Długo Tobą okrutne miotały zamiecie,
Uginasz się pod bólem, co pierś Twoją gniecie,
I, gdy przez lzy migocą nad Tobą latarnie,
Serce radbym do nóżek Ci rzucić ofiarnie.

Obok nas obojętnie płynie ludzka rzeka,
Ja czuję, jak w Twojej piersi serce krwią ocieka
I niczem Cię pocieszyć, nic pomóc nie mogę...

Więc, tłumiąc w głębi duszy ciężką jakąś trwozę,
Żegnamy się – i każde w swoją idzie drogę, –
Tylko – jak idziesz smutna – spoglądam zdaleka.

W. 18. 2.

Jak pomysłowy snycerz, czasami się bawię,
Nadając swym przeżyciom przedziwne wygięcie,
Układając je w milej dla oka ponęcie,
Jak wytworne drobiazgi, lub jak pióra pawie.

I lubuję się w takiej wydarzeń oktawie,
Którą gram na posłusznym życia instrumencie,
A gdy znudzi mnie tonów wysokie napięcie,
W dyssonans je niezwykle jakiś wykoszlawię.

I ludzę się, że rzeczy tak układ swoisty
Godzien jest ręki pewnej i oka artysty, –
Lecz wnet się we mnie budzi nagła żądza czynu

Co skronie mężów wieńcem ozdabia wawrzynu
I huczy w nich energją – pogromczynią spleenu, –
Inną ludząc ich złudą: pamięci wieczystej.

W. 22. 2.

Gdy cichutko mnie tulą Twych pieśczot powoje,
Zda mi się, że leżymy w pudełku z chryzantem,
Myśli się układają wzorzystym akantem,
Nad których się motyli barwnych wznoszą roje.

Czuję wtedy, że jestem odwiecznym amantem,
Że czarem wszystkich kobiet ciało świeci Twoje,
Że w Tobie kocham wszystkie – słodko sobie roję, –
Że lśniesz piękności wszystkich stubarwnym brylantem.

A, gdy pijany Tobą, schodzę na ulicę –
Niczem do dnia białego serca nie zachwycę:
Gwar świata mi się zdaje przytłumionem echem

Przeszłości jakiejś dawnej, porośniętej mechem, –
Słucham go roztargniony z zdawkowym uśmiechem,
– Jak nikt – uroczą w mózgu pieścząc tajemnicę.

W. 23. 11.

Czasami się splot rzeczy tak dziwnie zazębi,
Że pod razami losu ciężkiego obucha
W najmężniejszym się sercu rozpacz czai głucha,
Gdy fala przeciwności potwornie się skłębi.

Lecz choć Was najstraszniejsza smaga zawierucha,
Co, skostniałych, oddechem lodowatym ziębi,
I los Wam wbija w serce swój pazur jastrzębi –
Mężnie stawiajcie czoła i nie traćcie ducha.

Bo po tym wściekłym tańcu nad skrajem niebytów
Może rychło opadną rozwścieczone fale
I ten, co wytrwa wiernie przy swym ideale,

Ujrzy wśród chmur skłębionych wkrótce blask błękitów,
Słońce znów mu zaświeci w swej złocistej chwale
I znowu wszystko wróci do pogody świtów.

W. 23. 11.

Coraz błednie mi w oczach sława burzyciela,
Z którego słów brzmi grzmotem wierzeń dawnych zdrada,
Co do świątyń odwiecznych podstępnie się wkrada
I gryzącym dowcipem słabych onieśmiela.

Nie kusi mnie ta cała z djabłem parantela
Pod przewodem Woltera i Pana de Sades'a.
O wieleż wyższą od nich ta dziewczyna blada,
Co biednych swoich groszy – biedniejszym udziela.

Bo jako równi staniam po przed Trójcy trony,
I nie ten Sądem Boga będzie wywyższony,
Kto słowem błyskotliwym roznamiętniał tłumy, –

Lecz ów mały, co miłość niósł braci wzgardzonej,
A z wielkich – ów jedynie, co w wieńcu zadumy
I sercem krwią broczącym – kochał za miljony.

W. 26. 11.

Żałuję tylko tego, że nie jestem bardem,
Coby nauczył ludzi tak zaciskać pięście,
By spłoszone przed nimi pierzchało nieszczęście,
Kiedy mu w oczy zajrzą swem spojrzeniem hardem.

W przeciwności bym uczył ich walić oskardem,
Aż, skry sypiąc, rozpadną się na drobne części,
By skończyło się wreszcie potworne zamięście
Sił potężnych z nieróbstwem i słabego z twardem, –

I by powstała kiedyś zwarta awangarda,
Co, huknąwszy piorunem, jak gniewu petarda
Zapali entuzjazmem całe bratnie plemię,

By, zbudziwszy się ze snu, skokiem leoparda
Zrzuciło swe słabości i miękkości brzemię,
Pod którym tak wygodnie i nikczemnie drzemie.

W. 26. 11.

Twój oddech coraz cięższy, wargi coraz bledsze,
Zaciska swoje szpony niemoc, co Cię nęka,
I już stałaś się taka powiewna i cienka,
Że, zda się – jeśli dmuchnie – ulecisz na wietrze.

Kiedy patrzę na Ciebie, serce z bólu pęka,
Choć wiem, że po nas wszystkich czas wszelki ślad zetrze, –
Nowych kwiatów oddechem zapachnie powietrze –
Na innych rozkosz czeka i czai się męka.

Lecz targany boleścią, powtarzam daremnie,
Że chwilę tylko wcześniej odchodzisz odemnie
I że życie tak krótkiem jest, jak oka mgnienie:

Bo dwie są rzeczy, co z nas sobie drwią nikczemnie,
I, gdy szarpia, okrutne nam dają złudzenie,
Że nigdy nie przeminą: rozkosz i cierpienie.

W. 26. 11.

Już włożyłem na siebie żelazną obrożę
I wzrok ciekawy tępo przykułem do ziemi,
Bym krwawy Ci plon życia przyniósł, Wielki Boże,
I nie stanął przed Tobą z rękami próżnemi.

W pancerz się przed radami'm zakuł przemądrze,
Bym z drogi raz wytkniętej nie zszedł na bezdroża,
I z ramionami codzien bardziej schylonemi
Trudy swoje codzienne odrabiam w pokorze.

A gdy tak wprost przed siebie krocę nieugięty –
Dźwięczny głos syren białych, radość i katusze
Dni dawnych wspominając, wabi mnie w odmęty.

Lecz, nie patrząc na gibkich ciał lubieżne skręty,
Zapatrzony w swe trudy – niczem się nie skuszę
I marzenia – jak dzieci – własnoręcznie zduszę.

W. 26. 11.

Gdy wchodzę – jak w płaszcz w moje tulisz się spojrzenia
I stoisz, jakby ramion mych żadna opieki,
I kołyszysz się zwolna, jak na wietrze smreki –
Napoly z nieśmiałości – nawpól z utęsknienia.

Gdy Cię witam pieśczołą – dreszczów szereg lekki
Wstrząśł Tobą, jak od prądów dwóch różnych złączenia,
Twarz Ci się w arcydzieło z marmuru zamienia,
Tylko, jak dwa serduszka, biją Ci powieki.

A potem już – sprężysta, jak udana zwrotka,
Skręcasz złote Twe ciało w fantastyczne koła,
Jak we śnie – tak jedwabna, wysmukła i wiotka.

Więc tłumię i odpycham głos złego anioła,
Co mnie w dal znowu ciągnie – w dal od Ciebie słodka:
„Przestań, zamilcz zły głosie!”... Lecz on dalej woła...



W. 27. 11.

Tak dziwnie mnie upaja dźwięcznych słów mozaika,
Że sztuki ich składania chcę posiąść arkana,
By dźwięczały figlarnie niby fletnia Pana,
A rzewność w sobie miały wioskowego grajka.

By czarowały wdziękiem jak tęczowa bajka,
Gdy wieczorem ich będziesz słuchać zadumana,
A potem kołysały Cię snami do rana,
Jakich dać Ci nie zdoła opjumowa fajka.

A wtedy powiem sobie, że nie stracił czasu
Wśród Pań różnych – do bogiń podobnych Parnasu,
Gdym piękna w ich kwitjącym szukał korowodzie,

Ani u skraju w ciszy szumiącego lasu
W morze ognia wpatrzony o jasnym zachodzie,
Gdziem do późna siadywał na zwałonej kłodzie.

W. 28. 11.

Lubię Twoją postawę hardą i rasową, –
Więc śledziłem za włosów Twych burzą falistą,
W linję ramion i szyji wpatrzony przeczystą,
Gdyś w fotelu siedziała z odwróconą głową.

Rozpocząłem rozmowę słoneczną i mglistą,
Jak życie wokół wzmagać należy celowo,
Lecz Tyś za egoizmem harde rzekła słowo,
Przeszywszy mnie spojrzeniem silnem i świetlistem.

Tyle było w Twych słowach bujności i mocy,
Ile zapachów sosen w Twych borach północy,
Gdzie wiatr hula, a w kniejach zwierz się dziki rodzi.

Teraz, wśród ciszy letniej, w gwiazdy strojnej nocy
Marzę trochę o Tobie, tak jak marzą młodzi...
Cóż mi szkodzi pomarzyć?... Cóż to komu szkodzi?...

W. 25. 12.

Jak dziki krzyk tryumfu piękność Twoja błyska,
Czarownej, cudnej bajki podobna uludzie, –
Więc padają Ci do nóg i szaleją ludzie,
Oślepieni niezmiernym urokiem zjawiska.

Lecz, gdy z balu ostatni gość spóźniony pójdzie,
Nuda zewsząd ku Tobie haniebnie się wciska,
Jak świeca, którą zdmuchnąć, czar Twój nagle pryska –
Szarzejesz, gaśniesz, brzydniesz w tej piekielnej nudzie.

Jak inni, zapatrzony w Twej piękności cudo,
Marzyłem, że Cię kiedyś w swe porwę ramiona, –
Ażem przejrzał, że w mężczyzn tłumie rozbawiona,

Jak lód, wśród swoich zimna jesteś i znudzona,
A wzrok Ci lśniący nagłą stępią się obludą...
– Niech inny lepiej pieści Twoją główką rudą.

W. 25. 12.

Dzisiaj jakieś śniadanko, jutro znów Opera,
Bo wszak dyplomatyczne bywają tam Wtorki,
To znowu powieść świeżą wydał Maksym Gorki,
A tu ekonomiczne są wieści z Kurjera.

W sądzie jakaś niezwykła wybuchła afera,
Poezji młodej oto na stole dwa zbiorki,
Pięć bali, jeden obiad i trzy podwieczorki,
Tu zebranie ogólne, tam się sesja zbiera.

Myśl zajmujesz, uwagę skupiasz na wsze strony,
Z domu uciekasz, gonisz nigdy niezmęczony,
Polecisz do Zachęty, staniesz przed pomnikiem,

Poflirtujesz z garsonką, pogadasz z fircykiem,
Aż – w chwili nieuwagi – nagle z dzikim rykiem,
Jak zwierz, na Ciebie runie – ból długo tłumiony.

W. 25. 12.

Nie powiem, bym nie lubiał za zielonym stołem
Zasiąść z Wami, gdy kaźden swojej wiedzy ziarna
Rzuca tam, gdzie go służba powoła ofiarna, –
I zżyłem się już z Waszym szanownym zespołem.

Miłą mi twarz Prezesa, mądra i figlarna, –
Ty, poeto, co górnje szybujesz sokolem,
Lubię Ciebie, rzeczniku z pooranem czołem,
I Ciebie nawet, gębo podstępna i czarna.

Nad niejednym się mądrym głowimy sekretem,
Podatkiem i socjalnem tłem i paritetem,
A prawią o nich pierwsi w kraju luminarze.

Lecz czasem, patrząc na te pomarszczone twarze,
Jak inne! mi się jeszcze śnią preliminarze,
– Co nic wspólnego nie miały z budżetem.

W. 25. 12.

Z rogu patrzyła sowa elektrycznym okiem,
Kiedy dwie główki płowe nad książką schylone,
Przewracając sonetów – ich niegodnych – stronę,
Dwu kwiatów egzotycznych jaśniały urokiem.

Poprzez dymków sinawych leciutką przesłone
Na poręczy fotelu siedząca półbokiem,
Jak fontanna nad kwiatem, jedna jasnym lokiem
Strzelała ponad drugiej warkocze splecione.

Opodal wśród zacisznych obrazami murów
W półświatle rozstawionych zrzadka abażurów
Toczyła się nieprędko – niegłośna rozmowa.

A na tle tu i owdzie jaśniejszych konturów
Ku głowie się chwilami pochylała głowa –
I patrzyła swym okiem elektryczna sowa.

W. 25. 12.

Kiedy z ciałem o drzewo harmonijnie wspartem
Zabawiasz się na słońcu świeżą bzu gałązką,
I widzę Ciebie okiem szeroko otwartem
Tak rozkwitła w ramionach, a w biodrach tak wążką, –

Kiedy słucham uprzejmie z jak ciężką nawiązką
Bzdurstewka w dowodzeniu swem toczysz upartem,
Mile się uśmiechając, śliczną białą gąską
Nazywam Cię otwarcie nawpół – nawpół żartem.

Lecz kiedy po krytyki brniesz terenie grząskim,
Protekcjonalnie wchodząc do poezji włości:
„Owszem niezłe to, – widać tu pewne zdolności” –

To już w szal najprawdziwszej wpadam wesołości –
A że wszak – niewątpliwie – smacznym jesteś kąskiem,
Walczę z sobą, bym Ciebie nie nazwał półgąskiem.

W. I. I.

A kiedy widzisz jasno, że wyboru niema
I staniesz z mieczem w ręku i w oprawcy szacie,
Tłum ofiar patrzy na Cię błędnymi oczyma
I milczącym spojrzeniem woła głucho: Kacie!

Wy, z których w garści steru żaden nie utrzyma
I przy pierwszym powiewie koziolki fikacie,
Czy zrozumiecie kiedy, jak się dusza zżyma,
Gdy miecz bije, a serce woła: „wybacz, bracie!”

A gdy już ocalony jest strop Twego gmachu
I stoi znów wspaniały od pował do dachu,
Słuchasz, azali z nieba głos Cię nie doleci:

„Lepiej, by dom Twój w kupę obrócił się śmieci,
A żyzne pola Twoje w suchy ugor piachu –
Niż włos jeden spadł z głowy którego z mych dzieci.”

W. 1. 1.

Odile'o! Ach, Odile'o! o niepewnym wdzięku!
Ku wspomnieniu o Tobie dziś wyciągam ręce,
Jak o rozkoszy szale – o tej marzę męce,
Jaką przy Tobiem cierpiał – już nie tłumiąc jęku.

Jakżeś uroczą była w białej Twej sukience,
Gdyś lekko – zaplątaną w złotych pukli pęku
Zmęczoną Twą twarzyczkę na mym kładła rękę,
A jam na Ciebie w żalu patrzył i udręce!

Wiedząc, jakich Cię pragnień wnet opadną czady,
Zanim, jak kwiat się w słońcu Twe usta rozchyła,
Patrzałem wciąż na Ciebie bolesny i blady,

Świeżej zdrady na Tobie wypatrując ślady,
Pewny, żeś mnie – choć kochasz – zdradziła przed chwilą...
Odległa! Wiecznie bliska!... Odile'o! Odile'o!!

W. 1. 1.

Chciałbym się raz choć jeden zakochać najprościej
Gdzieś we wiejskiej samotni, lub na piaskach Lida,
By stępiła swe ostrze ta zatruta dzida,
Którą gnały mnie furje w niedawnej przeszłości.

Nie! nie była to słodka, słoneczna Cypryda,
Lecz jakiś afrykański, wściekły bóg miłości,
Co miotał mną o ściany i gruchotał kości,
I gnał przez życie kobiet ze świstem bolida.

Tysięcznych harpij we mnie wpiły się ramiona
I rzucały mną wściekle od łona do łona,
Zbuntowany daremnie wołałem im: „puście!”

Coraz mocniej wpijały się we mnie czeluście
I targaly mną w jakiejś piekielnej rozpuście, –
Gdy do nieba się dusza rwała utęskniona.

W. 2. 1.

Wszystkie me myśli jasne i pokusy szpetne
Bez lękliwego wstydu, lecz i bez brawady,
Na tych kartach niestarte zostawiają ślady
I w strofach tych wyrazy przyjmują konkretne.

A, krocząc tak w szeregach pstrawej defilady,
Porywy i poziome i – czasem – szlachetne,
Jedne i drugie skutki przeróżnemi dietne,
Jeśli walczą ze sobą – to wprost i bez zdrady.

A jeśli w rezultacie w tej zaciętej walce –
Zginie ciemny Ariman pod ciosem Ormuzda,
Mimo chmarą nasłane piekielne służalce,

To – być może – dlatego, że stalowa uzda
W mem rękę twardą była – aż trzaskały palce –
I stąd na czole mojem ta najgłębsza bruzda.

W. 5. 1.

Jak muzyk, obudzony nagle pieśnią, którą
Szeptą mu białe grudnie lub upalne lipce,
Nie myśli i nie mówi, lecz sięga po skrzypce,
By zaśpiewać ze słońcem, lub zawyc z wichurą, –

Tak ja – czy wspomnę nagle młodą twarz ponurą,
Czy grono uśmiechniętych Pań na małej bibce,
Czy staruszkę, co w śniegu do kościoła drypce,
Bez myśli i bez celu – biorę w rękę pióro.

Nie, ażebym, ambicją wiedziony niezdrową,
Pragnął uczuć łagodność obudzić w Ksantypie,
Lub, że wypowiedzenia się ferworem kipię,

Lecz, gdy za słowem korne układa się słowo
Pod piórem – zdaje mi się – że w noc księżycową
Na skrzypcach w gaju świętym smyczkiem sobie skrzypię.

W. 5 1.

Jeśli kiedy w mych myślach o grzesznej przeszłości
Wyrzut żre mnie piekący – to wtedy, gdy szybki
Chłód ku Wam przypominam, Wy o talji gibkiej,
Coście mnie nieproszone – kwiat niosły miłości.

Choć ukryć się starałem chłód obojętności,
Sztuka spojrzeń przeciągłych, ruchów złotej rybki,
Na oczu mych bezwiedne trafiały dowcipki,
Co mroziły Was w Waszej ku sobie ufności.

Gdy przypominam teraz, jak wtedy z Was która,
Tracąc grunt pod nogami, oczy swe bezradne
Tkwiła we mnie – swojego groźnego augura –

Jak traciły swą linię ruchy jej układne,
Jak drżały dreszczem lekkim jej usteczka ładne –
To z żalu spóźnionego cierpnie na mnie skóra.

W. 6. 1.

Chciałem, wzorem piastunki, która dzieci niańczy,
Z rymami się zabawić na polskim Parnasie,
Lecz one – zrazu ciche – już po krótkim czasie
W wir się wkoło puściły nagle opętańczy.

Grażąc mnie – w mnie jednemu słyszalnym hałasie,
Chmarą mnie nagle gęstą opadły szarańczy,
Co wokół mej głowy tan zawrotny tańczy,
Że daremnie już marzę o krótkim wywczasie.

Chciałem – wzorem Buffon’a – mankiety z koronki
Wdziwać, wchodząc w strzeliste poezji przedsionki,
Lecz, słysząc w chaotycznym hałasie tej chmary

Ciche brzęki komarów i ryki Niagary –
To znowu zapomniany dźwięk piosenki starej –
Widzę, że opanować je chceć – to czcze mrzonki.

W. 6 1.

Zaczytany uważnie w wiersze Baudelaire'a
Zamyśliłem się w środku sonetu niechcący,
Na czym – w gruncie – polega jego czar trujący
I jego „Kwiatów Grzechu” niezwykła maniera.

Trudność natchnienia wierszom tym płynność odbiera –
Lecz jak kontrast słów rzadkich jest w nich czarujący! –
A rym się zdarza czasem tak niepokojący,
Że zdawałby się prawie pomyłką zecera.

W tem wielkość leży Twoja, żeś gustem wybredny
W wierszach swych siał te dziwy w sposób pół-bezwiedny –
Lecz, nieświadomy tego, przyczepiłeś sztucznie

Do natchnień Twych zatrute demonizmu włócznie
I, z djabełem odprawiając krwawe msze i jutrznie,
Zmarnowałeś się w sieciach ich, poeto biedny!

W. 6. 1.

Jeszcze rok, dwa lub dziesięć szelestem sterlingi
Otoczą mnie królewien rozbawionych rzeszą,
Co w tańcu korowodach śmieją się i cieszą, –
Piękniejsze – niż w najazdach brane przez wikingi.

Potem – figle niech wiedzy z pomocą nie śpieszą:
Na nic francuskie chose'y i niemieckie ding'i –
Przez bulwary Paryskie i Wiedeńskie ringi
Inni, ciesząc się życiem, poflanują pieszo.

A potem – znów za chwilą potoczą się chwile –
I, o pewnej pachnącej i już bliskiej wiośnie,
W miejscu, gdzie popękany kamień na mogile

Na zmurszałych kawałach rychłym mchem porośnie, –
Tylko słowik w świat ciśnie swe zwycięskie tryle
I słońce przed zachodem popatrzy... ukośnie.

L. 5. 5.

Nie drażnij mnie niecznośna i przewrotna Chinko
Rączką, o której dawniej już słyszałem cuda,
Zakutą tak w brylanty, jak w swym chramie Budda,
Którego się odległą wydajesz kuzynką.

Lgną ku moim pod stołem Twe sprężyste uda,
Gdy z innymi rozmawiasz z jasną dziecka minką,
I nieznacznie, gdy – z boy'em – jedziem liftu skrzynką,
Tuli się ku mnie postać Twa współcześnie chuda.

A potem – Twego progu czeka mnie odmowa!
Niezadługo jednakże! Bo klnę się na Jova,
Że na Twym własnym balu, co od świateł kapie,

W przejściu przez pustą salę za włosy Cię złapię
I przewrócę na wąskiej i krótkiej kanapie,
Gdy z sal obok wesola brzmieć będzie rozmowa.

L. 5. 5.

Gdy na ust Twych soczyste spoglądam grenady
Chciałbym z Tobą ulecieć gdzieś w podróż bez kresu,
Tam, gdzie kwitną migdały i kwiat aloesu,
Lub na tafli szafiru złotem lśnią Cyklady.

Niech w mgle za nami zniknie ten świat interesu,
Pełen gwarnej brzydoty, chciwości i zdrady, –
W świat marzeń niech nas porwie szum Sierra-Nevady,
Lub w drzewa rozrośnięte kwiaty Celebesu.

Niech to wszystko, co śpiewa na kartach poety,
O czym marzyli próżno ludzie sercem czyści,
A co psuła im nędza, ból i ludzkie krety,

Grążąc ich w błocie grząskiem małych nienawiści,
Czyniąc szarą codzienność z ich wyśnionej fête'y –
Dla nas jednych się cudem – niebywałym – ziści.

L. 5. 5.

Hardo lubilem w boje wywoływać losy
Miecz nagi w dłoni dzierżąc w każdej doby porze,
Niestrudzony – aż ruchem miarowym położę
Piętrzące się trudności – niby żniwiarz kłosy.

Lecz oto, pogrążony w nowej mi pokorze,
Pierś odkrywając nagą na przeznaczeń ciosy,
Stoję bosi u dumnych białej bram Canossy,
Trapiąc się, czy dość śnieżno i mroźno na dworze.

Bo – im więcej mnie bólu Bóg słał i cierpienia,
Choć niejedna piekąca serce rwała rana –
Tem więcej w duszy stali czułem i kamienia.

Dziś – w pierwszym jej uśmiechu – pierwszy uśmiech Pana
Hardą zaciętość w słodką malutkość zamienia
I, dzieckiem znów się czując, – padam na kolana.

L. 20. 5.

Czasem zadźwięczy w duszy taka rzewna nutka
I nagle się – jak burza – w wielki szloch rozelka –
Aż znowu w szepcie lekkim zamrze gdzieś cichutka,
Tocząc się, jak po pluszu, zgubiona perelka.

I serce toczy pustka, że już nic w niem nie lka,
Że srebrna pęka nitka, nim się w przedzę utka,
Że z serca uleciała chwila marzeń krótka,
Kącik jeszcze w niem klójąc – jak ostra igielka.

Ze słuchacza wieczności – znów w śmiesznego gnoma
Życia wnet Cię obróci gorączka znikoma,
Lecz z objęcia kochanki wyskoczysz z skrą w oku

I konia nad przepaścią zatrzymasz w półskoku,
Gdy melodji tej promień znów przetrze się z mroku
I w serce Ci zapuka, jak dawna znajoma.

W. 28. 5.

Długo prosiły za mnie trzy święte kobiety
U – w róże zdobnych – klęcząc stóp świętej Teresy –
A święta z poza kwiatów patrzała w bezkresy,
W dusze lejąc pobożne swe słodkie sekrety.

A mną wściekle – jak dawniej – wciąż targaly biesy,
Szargając po manowcach wciąż nowej podniety,
I, pchając szturchańcami od mety do mety,
Wskazywały mi blahe i liche sukcesy.

Lecz kruszyła się zwolna biesów moc przeklęta
I rzadziej ich słyszałem świst nademną bata,
Aż, z czasem, popękały ich żelazne pęta.

Dziś – zlany znów z harmonją wiekuistą świata –
Zapytuję sam siebie – trójco kobiet święta –
Czy Wasze to modlitwy sprawiły – czy lata?

W. 29. 5.

Gdy śpiewam, rozkochany w uroczem mamidle,
Nie myślcie Wy, co moją dobrze znacie szpadę,
Którą obracać umiem, nim ją w pochwę kładę,
Że tylko tak udaję i że oczy mydlę.

Bo, mając przeciw sobie walczącą gromadę,
Miota się, rzuca człowiek, jak zranione bydłę,
Lecz już rwie się, by lecieć, o złamanem skrzydle,
W ów kraj, o którym słodka śni Shaharazade.

Bo nad przeszłością krąży i przyszłość ulata,
Myśl, co świat obejmuje i z życiem się brata,
I wszystko dać by chciała i o nic nie prosi.

Lecz, gdy z drogi świetlanej czarna noc ją ściąga,
By w błocie ją pogrążyć – wtedy chwyta drąga
I naoślep wokoło i wali i kosi.

W. 30. 5.

Zagadnień najzawilszych doświadczony nurek
Precz od nich biegłem ku Wam, których lśniąca usta
Śmiały się, gdy w fox-trocie falowały biusta –
I żyłem w Waszem gronie szczęśliwy, jak Turek.

Skomplikowanym obcy analizom Proust'a,
Jak pajac, co go dosyć pociągnąć za sznurek,
Na pierwsze zawołanie, wśród złotych guipiurek,
Dzieliłem z Wami Wasze lekkomyślne gusta.

A jeśli mnie czasami myśl wyrzutna gnębi,
Że świata tajemnice mogłem poznać głębiej,
Wyłącznym studjom swoje poświęcając życie –

Myślę, że dobrze róży żywe krajać ciało
By się wszystkich jej cząstek budowę poznało –
Lecz dobrze też pachnącą oddychać w rozkwicie.

W. 30. 5.

Zarumień się, najdroższa, jeszcze raz zarumień,
Niech falę wrażliwości Twojej popieszczę wzrokiem,
Gdy – kryjąca się zwykle w ukryciu głębokim –
Wytryśnie strugą lekką, jak z pod ziemi strumień.

Tak mnie już zmęczył widok tych wytartych sumień,
Które mię zalewają powodzi potokiem,
Żem szczęśliw nieskończenie, kiedy pojmę wzrokiem
W twym rumieńcu ślad głębszych i czystszych zrozumień.

Bo pragnę niepamiętać i niemyśleć wolę,
Że promień zniknie jasny i na twojem czole,
Że rozwieje się czystość, co jak kwiat Cię zdobi,

Gdy czas Ci rylcem tępym twarz w zmarszczki wyżłobi, –
A ogród Twego serca – życia ciężkie dole
Wysuszą jak Saharę lub pustynię Gobi.

W. 31. 5

Gdy tak łatwo poprostu było się na ławie,
Legliśmy w starym parku na puszystej derce
I, – wkrótce zatopieni w błahych słów żonglerce,
Zatonęliśmy wzrokiem w wzorzystej murawie,

Gdzie słońce, rozkochane widać w mej pasterce
Z drzew kółek przepych słało – niby pióra pawie.
Rozkołysana miękko w tym pół-śnie, pół-jawie,
Niebaczna – niebaczному dałaś mi swe serce.

Pięknym tym podarunkiem zagnała zaskoczony
Obracam Twe serduszko w ręce zadziwionej,
Że takie jest leciutkie – tak ładnie łoपोсе.

Jak klejnot oglądając je na wszystkie strony
Na pomoc mą przyzywam wszelkie znane moce
I, co z niem dalej począć? – strasznie się kłopotę.

W. 8. 6.

Jeśli Cię kiedy w nocy zbyt słodkie marzenie
Zagna w las, bezsennego, kędy wietrzyk muska
Wodę, w której się zrzadka senna ryba pluska –
I – w świata zapatrzony srebrzyste omdlenie –

Poczekasz, aż się stawu skrawi biała łuska,
Aż królewskie nastanie ziemi przebudzenie
I świat się ręką świtu umaluje w cienie
Na tle pomarańczowem, jak waza etruska –

Jak gorzko wspomnisz, patrząc w dół na ciemne darnie
Owe noce, spędzone pod dachem spelunki,
Gdzie szalały dziewczęta i lały się trunki –

I pojmiesz, że użyłeś darów Bożych marnie, –
I strach Cię może wielki w chwili tej ogarnie,
Jakie czekają Ciebie z Bogiem obrachunki.

W. 9. 6.

Nie dziw się, że na five'ach umiem trwać cierpliwie
I z uśmiechem rozmawiać z wymuskaną dziczą,
A, słuchając ploteczek, co dudnią i syczą,
Uśmiechów swych grymasem nawet nie wykrzywię.

Kiedy jęcza straszliwa ze sztuczną słodyczą
Dobroci chwałbę głosi – wcale się nie dziwię,
Ani gdy snob o lśniąco wytrefionej grzywie
Bzdurzy gdzieś komunały z miną tajemniczą.

Bo wiem, że gdy się stanie już nieznośnie nudnie
I do cna mi obrzydłą postacie miluchne,
W obrzydzeniu straszliwem – pięścią w stół nie gruchnę,

Ni słowem zelzę szorstkiem Baby albo Dziuchnę,
Lecz salon jednym myśli szarpnięciem wyludnię
I na harfie mej duszy cichą pieśń zadudnię.

W. 9. 6.

Sztucznie wyhodowani w zbytku i wykwińcie,
Wy o znudzonych twarzach bladzi sybaryci, –
I Wy pachnące kwiaty o gibkiej kibici,
Minęły Wasze czasy – znikajcie i gińcie.

Nikogo już wyniosłość Wasza nie zachwyci,
Gdy suniecie po komnat Waszych labiryntach, –
Na rozdartych swych żaglach w zapomnienie płyńcie –
Dziś światem – Wasi dawni kierują najmici.

I ci – dawniej obdarci, dawniej co dnia głodni –
Dziś, przy blasku ognistym postępu pochodni,
Pod przyszłość jasną mocne podwaliny kładą.

A, choć nas czasem rażą goryli ogłada,
Nauczą się wnet od Was i mówić ze swadą
I ubierać ze smakiem – prościej i wygodniej.

W. 9. 6.

Gdy na wiosnę szmaragdem tryskały z drzew liście,
Czekałem Was w ogrodzie z duszą utęsknioną
I czekałem jesienią, gdy złe wichry wioną,
I zimą, gdy na drzewach białe lśnią okiście.

Z cudnem ust rozchyleniem, z oczami co płoną,
Rysowałem Was w myśli, drząc o Wasze przyjście,
I krążąc w kółko z sercem bijącym – a Wyście
Schadzkę raz pamiętały – raz nie – umówioną.

Dziś, jeśli mnie przeszłości wspomnienia owieją –
Owocnem czy daremnem było me czekanie –
Równie wdzięcznie wspominam Was, przepiękne Panie.

Za wdzięk Wasz, mą gorączkę i słodką nadzieję
Kocham Was dziś jednako – i z tego się śmieję,
Czym odrazu, czy później miał rozczarowanie.

W. 9. 6.

Flegmatyk czy choleryk, snob czy denegerat,
Nikogo z Was, o bracia, surowo nie sędzę, –
Błądźcie po omacku – i ja z Wami błądzę –
Każden z nas w swój wprzągnięty twardy życia kierat.

Każden – dziedzictwu przodków posłuszny rad nie rad
Przyniósł w świat despotyczne – często sprzeczne – żądze:
Jednego kusi miłość – drugiego pieniądze, –
Aż w końcu życia księgi długą listę errat,

Co przed nim już w wydaniu „ne varietur” leży. –
On, co tak zawsze wiedział dokąd iść i kędy,
Co szczerze za lepszego miał siebie z szermierzy,

I dzielnego oracza swej Ojczystej grzędy –
Ujrzawszy nagle – pojmie swe okrutne błędy
I w ciężkiem przerażeniu oczom swym nie wierzy.

W. 22. 6

Było to wtedy, kiedy świat był młody,
Gdy blaskiem barw rozkosznych oślepiały kwiaty,
Zawrotne rozlewając wkoło aromaty
Na bujne, rozhukane, wiecznotrwale gody, –

Gdy dźwięczała tajemnie świeża pieśń przyrody,
A grom potężnym hukiem wstrząsał z posad światy,
Gdy tak miłym był biedny, a dobrym bogaty,
I szlachetne krzywd wszelkich broniły narody, –

Gdy gwiazdy w górze drżały, jak duże brylanty,
Góry nieba sięgały – a piekiel przepaście,
Gdy rycerzy bez skazy lśniły akselbanty,

Gdy atlasową smugą zwierząt grały maście
I szeptem duszy miękko dzwoniły kuranty –
Było to wtedy, gdym miał lat dwanaście.

R. 16. 8. 29.

Ani okiem nie mrugnę, wytworna grafini,
Gdy, lśniaca klejnotami, jak w Luwrze gablotka,
Wchodzisz dumna na salę, a ten, co Cię spotka,
Ukłony z menueta kornie Tobie czyni.

Tchnie pańskość i wyniosłość laskawa i słodka
Z każdego ruchu Twego – godnego bogini –
I niejeden – niepewny – swą niezręczność wini,
Gdy spojrzysz nań z pod rzęsy – drapieźnie – jak kotka.

Jak dziko się Twe ciało w ramię męskie wtula,
Gdy w tempie już furiosa – czy zrazu allegra
Sarabanda Twych zmysłów nagle się rozegra

I z wiatru stepowego świstem się rozhula –
Gdy misterna z Twych bioder zsunie się koszula –
Czyż pojmie ta światowa – co nią gardzisz – pègre'a?

R. 16. 8. 29.

Grzmi, huczy, dudni, lśni się wir wielkiego miasta,
Jak morze się przewala ciżba uśmiechnięta –
A z jakiej sieci zdarzeń – o tem nie pamięta –
Fajerwerk tego ruchu mozolnie wyrasta, –

Wiele rachub, przypadku i zbrodni się szasta,
Sklócone tego wiru tworząc elementa.
I jakim poszła szlakiem ścieżka losu kręta,
By symfonię tę stworzyć – cieszy się i basta.

Bo takim los człowieka: cieszy się i smuci,
Zależnie jaką cząstką powierzchni się zwróci
Chwilowo świat ku niemu: szorstką czy też śpiewną.

Gdy pojmie twardość świata maszyny bezgwieźną,
– Przerażony – już piosnki nigdy nie zanuci
I stanie się nieczuły i niemy, jak drewno.

R. 16. 8. 29.

Zażywam Twoich pieaszczot, jak chory polewki,
Topiąć w nich zwarzowanej wspomnienia ekstazy,
Którą szarpała duszę chorą tyle razy
Przewrotność i rozwiąłość tej piekielnej dziewczki.

Jeszcze mi w uszach ciągle jej rozwiązłe śpiewki
Huczają jak fantastycznie hałaśliwe jazz'y –
Więc – żeć dość – bym pieaszczoty Twe brał bez odrazy –
Biorę je – dławiając niemi bunt pamięci krewki.

A że szara pieaszczota Twocja często mdli mnie,
Gdy siła dawnych wspomnień po głowie mnie rymnie,
I zaszumi mi w sercu przeszłych snów huragan,

Huczając w jakimś nieziemskim tryumfalnym hymnie,
To – poczuciem swej winy najpokorniej smagan –
Wiem – że nie ujdę srogich moralisty nagan.

R. 17. 8.

Syn wolnej Anglji w zbytku zrodzony baronet,
Potentaci dolarów i królowie łysi
Pęta dźwigają losu, co nad nimi wisi –
Których armja nie zerwie – ni cud – ni brzęk monet.

Więc jeśli za swobodą zatęsknisz canzonett
I jakiś duch tyranów w Tobie zakaprysi,
Żądny władzy bez granic – jakiej nie chcą cisi –
Weźmij pióro do ręki – siądź – i napisz sonet.

Zafaluje przed Tobą słów posłusznych morze,
Z których każde na wybór Twój czeka w pokorze
I z niepokojem kaprys Twojej myśli śledzi.

Są trudności: myśl czasem nakształt w beczce śledzi
Ścisnąć musisz przydługą: sport miłym być może,
A na wyczyn z uznaniem popatrzą sąsiedzi.

R. 17. 8.

Nie mogę – czy też nie chcę, lecz pewnie nie mogę
Stalowej siebie poddać wymogom logiki;
Raz po raz się buntują me dawne nawyki,
Białą zrywając z ramion Rzymianina togę.

Nie tak twardo, jak pragnę, w twardą idę drogę,
Staję wnet – snów ofiara – to na zew muzyki,
To nad lanem łubinu lub kwitnącej gryki –
Niewzruszonego próżno podziwiając yogę.

I, choć wyrzut piekący, jak pies we mnie warczy,
Że każdej szkoda chwili, że czasu nie starczy,
By spłacić godnie wszystko, co mi ludzkie rzesze

Daly trudem swym ciężkim – jeśli nie pośpieszę –
W klomb kwiatów się zamienia bronz rzeźbionej tarczy –
A, co gorsza, myśl drażni: że może nie grzeszę?

R. 17. 8.

Z Ruchu świat jest zrobiony mądrze nieskończenie:
W atomach pędzą wkoło elektronów kule,
Atomy zaś – po kilka – zwarte w molekule,
Materji niewzruszonej dają nam złudzenie.

A materja – to ziemia – to kwiat – to nasienie –
Z niej są wilki i ptaki, kochanki i króle –
Z niej gwiazdy po niebieskiej płynące kopule – –
W wszechświecie zaś – znów atom chce widzieć marzenie.

Jeśli atom jest światem – a nasz świat atomem
Olbrzymiej molekuly w gigantycznym świecie,
Który znów jest atomem – myśl mdleje w pokorze.

Gdybyś Ruch nagle wstrzymał jednym Woli gromem –
W mig się światy spiętrzone – w Nic zapadną przecie
I pyłku nie zostanie! – Wielkim jesteś, Boże!

R. 20. 8

Cudna jest wczesna jesień w swej wieczornej krasie,
Gdy drzewa się kołyszą w złocie i purpurze,
Zapachem skoszonego siana dyszy wzgórze,
A nad nim – już smutniejsze – słychać ćwirki ptasie.

W pożegnalnym i ciepłym przedwieczornym czasie
Za senną furką złote podnoszą się kurze,
A słońce, niewysokie, w drzemiącej naturze
Rzeźbi na żółtej łące bydło, co się pasie.

Cudną też jest kobieta, kiedy cicho staje
Na lat swoich rozdrożu: już prześnione maje
Świecą jeszcze w jej oczach ogromem pieśczoły;

Gdy na główkę jej słońca promień padnie złoty,
Zadrga czasem jej uśmiech przedziwnej tęsknoty,
Co w cichem pożegnaniu ciepła dreszcz Ci daje.

B. 2. 9.

Figlarną jeszcze młodość igra we mnie falą,
Lecz już starości czuję wyciągnięte szpony:
Na zmysły przytępienia zachodzą zasłony,
A myśli – w sobie zwarte – wciąż się doskonala.

Jeszcze mnie pocałunki młode tną i palą,
Lecz za chwilę już smutnie odchodzę znudzony,
I, wśród kwiatów i śpiewów zabawy szalonej,
Coraz bardziej mi tęskno za błękitną dalą.

A że myśl coraz częściej świta w mojej głowie –
Gdzie włos rzadki staranną układa się rysą –
Że zdawna policzone nieliczne me dni są –

To zdążę jeszcze przecież w nieuczonej mowie,
Hold wdzięczności przed śmiercią złożyć Wam, bogowie,
Za hojny poczęstunek – wyrzeźbioną misą.

B. 2. 9.

Wszystko mi pokazałeś, co dać mogłeś, Panie:
Pokazałeś mi piękno, co kusi i mami –
Którego złudzeń echo dotąd w duszy gra mi,
Gdy wtóruje mu tylu zawiedzionych łkanie.

Jeszcze mi krążą w oczach wielkie z mydła banie,
Co pękały, gdy chciałem ich dotknąć rękami, –
Znam prawdy, które kłamią, piękno, które plami,
I z dążeń najwznioślejszych czcze naigrawanie.

Na bezdroża – przepyszne wiodły mnie mamidła,
O błędne mi ogniki opalając skrzydła,
I brukając mych dumnych białość pióropuszy, –

Aż, – gdy wreszcie ta pogoń bez celu mi zbrzydła –
Odciałem się od świata w mej zapadłej głuszy,
Ocalone składając skrzętnie resztki duszy.

B. 3. 9.

Gdy jak piskorz z męczących wyslizgnę się narad,
 Frak wdziewam i po świecie Ciebie szukać lecę
 I, siadłszy gdzieś w kąciku, jak z krzesiwa niecę
 Iskry, któremi tryska Twojej myśli aparat.

Odkąd słodki nademną swój sprawujesz carat,
 W myśli Twojej się nurzam rozkosznie jak w rzece –
 Z słów Twych każde Twą wartość mnoży tak dalece,
 Jak w bezcennym kamieniu dodatkowy karat.

Niejednej z nudą'm słuchał barwnych słów mistrzyni,
 Bom – jak Heine^{*)} – pogańsko innych ciał pił miody.
 Dziś, tak staję przed Tobą, jak myśliwy młody,
 Co na dzika w las wyszedł w dzień mroźnej pogody
 I stanął w osłupieniu – zamiast dzikiej świni –
 Ujrzawszy w głuszy leśnej greckiej kształt bogini.

B. 5. 9.

*) Buch der Lieder 40.

*Wciąż pamiętać o tem muszę
 Ty, co we mnie wzbudzasz szat,
 Żem miał ciało Twe i duszę,
 Żem Cię całą kiedyś miał.*

*Ciało — chciałbym wciąż całować —
 Najpiękniejsze z młodych ciał —
 Duszę — mogliby pochować —
 Własnej duszy dość bym miał.*

(Tłum. Autora).

Niech misterną Twa mowa będzie jak trjolet,
Niech w całym przyrodzeniu tony rzadkie łowi,
Zadźwięczy jak śmiech dziecka, lub jak lament wdowi,
A czasem dyssonansem huknie, jak pistolet.

Niech kroczy w niej poważnie dostojników fjolet –
Lub – niebaczna niech wszystkich, jakie wzbudza, mrowi –
Dreszczy nowych nie szczędzi – płocha – Polakowi
I perwersją zuchwałą zarzy zkońska Collett.

Niech nigdy się w rutynie martwej nie zasklepi,
Lecz z fantazją na bakier dziarskie wdziawszy kepi,
Uśmiechy pobłażania z uśmiechem wyzywa,

I dźwięków melodyjnych coraz nowych chciwa,
W zestawienia nieczęste składa je cierpliwa,
Milknąc, kiedy je składać kto potrafi lepiej.

B. 9. 9.

Jak śpiew słodka anielski, lub zła jak megiera,
Myśl każda – czy lecąca, jak ptak, w dal obłoczą,
Czy drepcąca mozolnie z tymi, którzy kroczą, –
W krótką się u mnie formę sonetu ubiera.

Naprzód – marszowem tempem rytm się w niej przeciera,
A wnet i cztery rymy usłużnie podskoczą,
Za nimi pozostałe już suną ochoczo,
I tak powstał tom wierszy znanego bankiera.

Możnaby z nich niejedną rozwinąć w traktacie
W guście tych, nad którymi głowami kiwacie,
Co są uczcią pedanta, przekleństwem studentki.

Miast myśli przedzę w długim prząść elaboracie,
Cierpliwości wzór dając – w sposób bardziej prędkiej
Uprawiać wolę swoje – w różne kwiaty – grzędki.

B. 9. 9.

Tamtej się raz na five'ie jego udał krawat,
Ta – siły wyznawczyni – do brutala wzdycha,
Tamta znowu w cherlaku czystość ceni mnicha,
Inna zaś kocha snoba, dumna z jego brawad.

Każda tembardziej kocha, im jej więcej zawad
Stańło na przeszkodzie i, wzdychając zcicha,
Tak się długo upiera, aż ciężkiego licha,
Dotrwa z mężem, wybranym, jak na suknię bławat.

O gąseczki wy białe, urocze i głupie,
Jak często, gdym w pachnącej waszej krążył grupie,
Myślałem, jak źle losy wasze prowadzicie...

Lecz może to nieważne? Ważne to, że życie
Dacie tym, co te błędy powtórzą sowicie,
Gdy my już w grobie legniem – grzecznie – trup przy trupie?

B. 9. 9.

Śpiewaj mi, śpiewaj! niech się zwolna wznoszę,
Jak łódź, na rozśpiewanej Twego głosu fali,
Co lekko nas uniesie do błękitnej dali,
Gdzie czekają nas czyste i jasne rozkosze.

Niech z świątyni pamięci głosem Twym wypłoszę
Tych wszystkich, co haniebnie potworni i mali
Z pięknych złudzeń kwiat życia mi do cna obrali,
Kwiat złudzeń pięknych, który dotąd w sercu noszę.

Bo zapatrzony w Tobie, jak w żywej antenie,
Przez którą się upoję życia cudną pieśnią,
Śnię, że tak się nam wszystkie życia lata prześnią,

Że takie ku nam teraz idzie przeznaczenie,
By na falach Twej pieśni płynąć nieskończenie,
Co sama ku nam spływa Twoich ust czereśnią.

B. 20. 9

Unikać nazbyt ciężkich pasztetów i rulad,
Unikać alkoholu, strzedz się nikotyny,
A nadewszystko żądań nadmiernych dziewczyny –
Oto panów lekarzy rozsądny postulat.

Lecz młodzież żyć nie pragnie aż do szarych stu lat,
Mądre wskazówki wiedzy ma sobie za drwiny –
Szaleją, palą życie świątłych ojców syny,
Jak negr dziki, lub mało co mądrzejszy mulat.

A starzec chwali wiek swój – wzorem Cyncerona –
I przez liczne przeszedłszy już życia probierze,
Na młodzika spogląda, jak na chutne zwierzę.

Wiele mu szal młodości dni życia odbierze –
Oblicza, i – że praca jego nieskończona,
A cel jeszcze daleki – widząc – z żalem kona.

B. 20. 9.

Monotonny, miarowy, wieczny morski szumie,
Jaką jest ta, co Tobą śpiewa mórz potęga,
Co w lądzie wyspy wałąc, po wszechmiejsce sięga –
Myśl objąć ledwie zdoła, a język nie umie.

Oddycha Tobą morze w swojej władczej dumie,
A miliard się potworów w łonie mu wylęga,
Gdy stopniami podbiega białych wałów wstęga,
Na brzeg rzucając suche drobnych stworzeń mumje.

Kołyszą się w głębinach fantastyczne bory,
Po których cicho krążą z chorych snów potwory,
A człowiek, co na szczytach nieczęstych się gnieździ,

Z morza patrzących w niebo, co w górze się gwieździ,
Dlatego nad mórz brzegiem stanąć może nieździ-
Wiony, że myślą słabą – objąć ich nieskory.

B. 20. 9.

Gdyby niebo w mig jeden przez tysiąc odcieni
Z burzy chmurnej do jasnej przejść mogło pogody –
Byłoby jak na twarzy Twojej uśmiech młody,
Co tysiącem skier lśniących żarzy się i mieni.

Gdyby morze na jasnej błękitnej przestrzeni
Atlasowym półblaskiem swe nieciło wody,
Toby pewnie Twych oczu dosięgło urody,
Co błyszczą tyłą miękkich i zmiennych promieni.

Gdyby kwiat, szaty lśniące zazdroszcząc komecie,
W brylantowe się blaski gdzieś okrył w sekrecie
I perfum wyszukanych bryzgnął unikatem,

Może Twym by zapachniał wreszcie aromatem
I jak Ty – żywym świata stał się poematem –
Świetle nieba – mórz blasku – Ty mój cudny kwiecie.

B. 20. 9.

Czy we mnie, czy w innego groźny cios uderza –
Masz we mnie powolnego i zgodnego świadka:
Rzuca się, skarży, jęczy niejeden brat-łatka –
Lecz ja pod razy Twoje rozchyłam puklerza.

Przestała mnie już trapić okrutna zagadka,
Po co ciosy straszliwe Twoja dłoń wymierza,
Poco los tropi ludzi – okrutnie – jak zwierza,
Poco dziecko umiera i rozpacza matka.

Tyle nieznacznych oku ran piekących krwawi,
Tak zwolna i zdradliwie nieszczęście się skrada,
Że mnie już żal za wszystkich tylko niemo dławi.

Gdy widzę, jak znienacka znów gdzieś cios Twój pada,
Pod którym równie giną i grzeszni i prawi –
Lecz już brak mi – za siebie płakać lub sąsiada.

W. 29. 10.

A jeśli Ciebie wcale niema, Wielki Boże,
Jeśli kilku szaleńców w gorączce natchnienia
Nauczyło nas Twego wielkiego imienia –
A potem rozszalałe bólem ludzkie morze,

Modłów bijąc oskardem w puste nieb przestworze,
Wzmacniało dalej przesąd Twojego istnienia,
Daremnie wkoło Ciebie swe snując marzenia, –
To jednak w Twej świątyni uklęknę w pokorze.

Bo jeśliś niczem więcej – jesteś równowagą,
Co, światem rządząc, siłę ma świętą mocarza,
A tego, co ją zdepcze, klnie i upokarza.

Jesteś życia straszliwą i wielką powagą,
Co drogę nam wskazuje z żywego brewiarza –
A nietylko prastarą i szanowną sagą.

W. 29. 10.

Nie – leżąc krzyżem, lub klęcząc w pokorze,
Lecz w najciemniejszym stojąc kącie Twej świątyni,
Za uśmiech pożegnalny życia dank Ci czyni
Człowiek, co z grzechem myślał, że już zerwał, Boże.

Przelewa się tłum gości na świetnym wieczorze,
Dla każdego ma słowo miłe gospodyni,
A jam smutny: gdy wita mnie łask rozdawczyni,
Nawet oka nie zwróci – o zmiennym kolorze. –

Lecz za stołem tuż przy niej swem znalazł nakrycie
I, gdy okiem zalotnem wszystkich wkoło drażni,
Przez usta wpółzamknięte do mnie najwyraźniej

„Wszystkich oddam za Pana” – szeptem rzekła skrycie. –
Więc serce mi jak młotem biło coraz raźniej –
I cudnym się uśmiechem uśmiechnęło życie.

W. 29. 10.

Gdy piękny był i młody, zbudowany rośle,
Dumny chwałą pokoleń pan rozległych domen,
Wydawał mi się – dziecku – kochankiem Melpomen,
I lubilem, gdy wkoło spoglądał wyniośle.

Z czasem – po świecie płynąc o uważnem wiośle –
Często, gdym nicość widział wielkiem skrytą nomen,
A pod gestami króla komiczne fenomen,
Ledwie zwartemi wargi tłumiał okrzyk: ośle!

Tak słów magja upojna z wiekiem się ulatnia:
Miłość wędnie i piękno, wędnie przyjaźń bratnia,
Serce się o okruchy tych cacek kaleczy –

Uczuć wzniosłych istnieniu burzycielsko przeczy –
Aż błysnie mu nareszcie ta prawda ostatnia –
Że wielkie są nie nazwy – lecz w nich skryte rzeczy.

W. 17. 11.

Nie cichutko w kąciku brzdąkać gdzieś na cytrze
Piosenki zadumane, rzeźbione jak fjordy,
Lecz huknąć na świat cały w zwycięskie akordy
I, wraz stanąwszy między meże znamienitsze,

Godnie kroczyć na czele w swej książęcej mitrze
Przed czeredą wybranych, dumniejszą niż lordy –
Że w słowa się zakłęto uczuć dzikich hordy
I drzeń serca najłżejszych melodje najskrytsze –

Jest udziałem niektórych. Niezrównani mistrze
W cudnej po czasie, krajach i ludziach podróży
Na kartach swych – jak w bajce – prowadzą was bystrze.

Lecz Twe, brzdąkaczu cichy, melodje najczystsze
Mają uśmiech kochanki, czar pachnącej róży
I słów Twych układanka nigdy mnie nie znuży.

W. 17. 11.

Gdy brzuchata tuż obok pyszni się figura,
A gęstym maczkiem wkoło siedzą również ci, co
Trudno zgadnąć dalibóg czem się tak znów szczycą –
Każdy zdobny w niedbałe pozory augura –

Niepomny, że słów wielość jednak nic nie wskóra,
Gdzie starczy trzasnąć woli lub słów błyskawicą –
Szukaćbym gotów szpary najcieńszej ze świecą,
By z zacnej tej kompanji dać tęgiego nura.

Kołyszą mi się w oczach pola dzięcieliny
I zapachem jaśminu stary park mnie woła, --
Gdzie czas nam słodko płynął pod stuki dzięcioła –

A tu siedź nieboraku u długiego stoła:
Więc między najtrudniejsze liczę sobie czyny,
Że śmiechem im nie parskam w uroczyste miny.

W. 16. 3.

„Powiedz, nieznośna Chinko, powiedz w sposób szczery,
Wieleż listów – jak do mnie – piórem sekretarzy
W świat poszło, wielbicieli z odległych parazy
Wzywając na słoneczne wybrzeża Riviery?”

„Sam spytaj – ot ta jedna pisze mi za cztery.”
„How many?” „But one only!” słyszę z czarnej twarzy,
Więc, gdy murzynka znikła w cieniu korytarzy –
Już byłaś w mem objęciu słodka, mała Fairy.

Gdym Cię prostą jak trzcina, co na słońcu rośnie,
Tuląc miękko, w Twe wargi wpijał się radośnie,
W oczu czarnych wpatrzony lśniące galki skośne,

W których tliły się żarem myśli zchińska sprośne,
Co w krwi żółtej drzemały dotychczas bezgłośnie,
Poczułem, że snu swego tym już razem dośnię.

W. 16. 3.

Londyńskich plotek słusznych wypędzony gwarem,
 W słońcu osiadł Childe Harold Weneckiej laguny
 I, w czarowne zachodów niezrównanych łuny
 Wpatrzony – kobiet mnogich upajał się czarem.

Najpiękniejszych ziemianek otoczył go harem,
 A on – byle trzaskały mu w piersiach pioruny –
 To w sercu swych kochanek czule budził struny,
 To – oporne znów – hojnym zdobywał talarem.

Zaszeptali półgłówno nawet zwolennicy,
 Że głupio tak dla byle szaleje spódnicy –
 I druh nawet odsuwał się odeń pomału;

A Manfred, z swych urojeń patrząc piedestału,
 Przelewał w nieśmiertelne swe strofy z kryształu,
 Zbierany z warg tak wielu – wieczny czar kobiecy.

W. 23. 3.

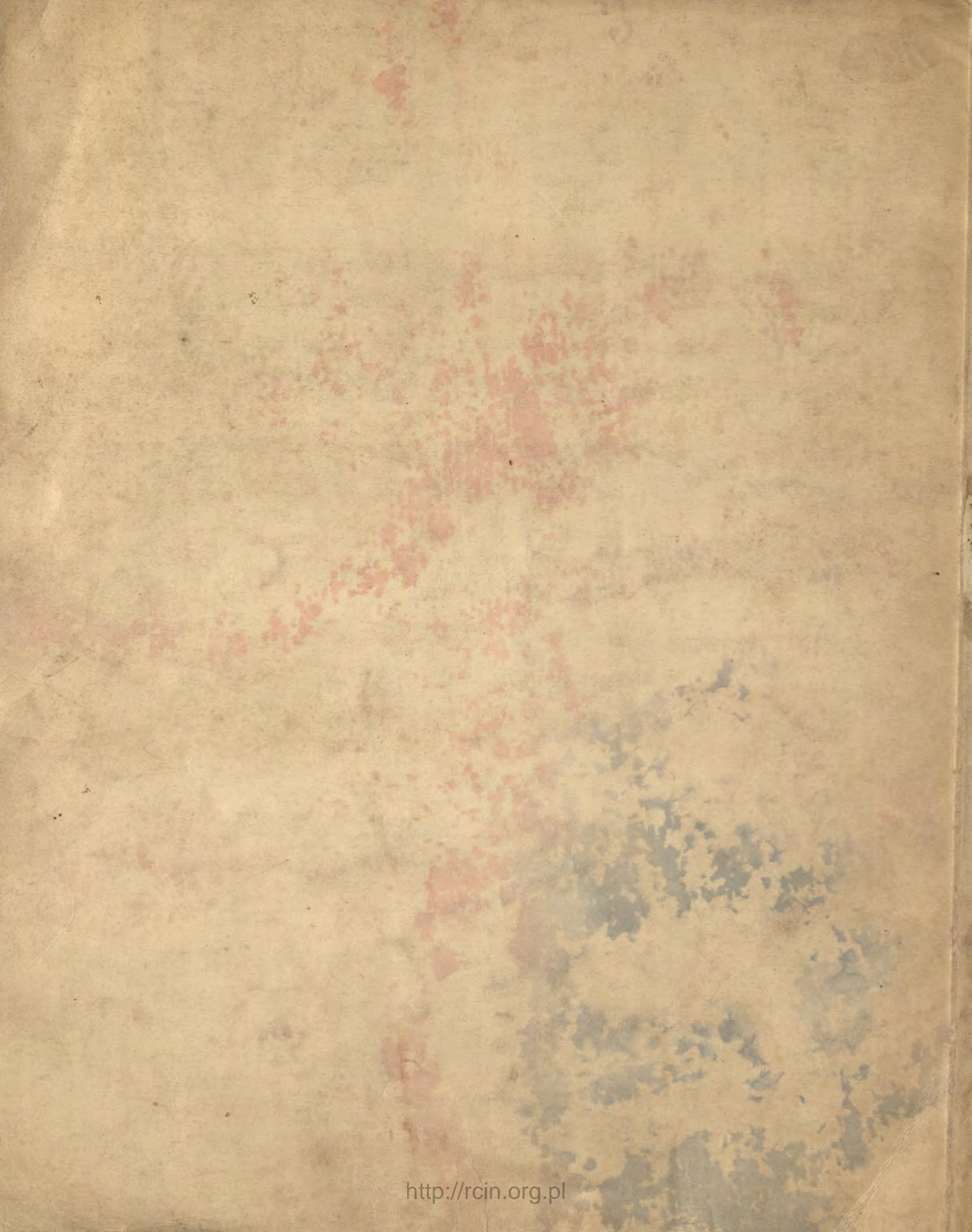
INSTYTUT
 BADAŃ LITERACKICH PAN
 BIBLIOTEKA
 00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 79
 Tel. 26-68-63



The first part of the paper discusses the
 importance of the study and the
 objectives of the research. The second
 part describes the methodology used
 in the study. The third part
 presents the results of the study
 and the fourth part discusses the
 conclusions and the implications
 of the study.

25.

16710



F

23.708